

ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 19-go listopada 1925 r.

Nr. 44

Modlitwa polskiego dziewczęcia.

Wiem ja, bo mi mama o tem powladała,
Żem dziecię tej ziemi, żem jest Polka mała.
I wiem jak mi Polska jest droga i miła,
Bo mnie w polskiej mowie pacierza uczyła.
Bo mnie polskie niwy, chlebem swym karmily
Bo mnie polskich piosnek skowronki uczyły
Bo mnie tam na niebie strzeże Matka Boska,
Ta polska Królowa, nasza Częstochowska.
Bo przy Bożym tronie, polscy święci stoją
I codzień się modlą, za ojczyznę moją.
Więc i ten paciorek polskiego dziewczęcia
Przyjm o dobry Boże w ojcowskie objęcia,
Bo on się z mej duszy wyrywa jak łkanie,
Ojczyźnie mojej, pobłogosław Panie!

Jaśko.

W pewnej wsi, w księstwie Poznańskim żył chłopiec syn wieśniaków. Wieśniacy ci mieli chatkę, kawałek gruntu i ogródek. Nazywał się ich syn Jaś, a miał on bujne kędziory, jasne, piwne oczy, spoglądające śmiało na świat, rysy twarzy szlachetne. W dzieciństwie, gdy pasał stado, bywał bardzo zadumany i patrzył przed siebie na szmaragdowe łąki, na śnieżno białe niewinne lilje, na wijącą się w dali, niby wąż, rzeczkę, na złote łany zbóż, widział oczyma duszy istoty nadziemskie, czuwające nad przyrodą, słyszał granie wichru, Iluka, ha, bu! I stał tak..

Potem na zimę oddano go do szkoły. Nauczycielem szkółki był gruby Niemiec, który za najmniejsze przewinienie dawał „łapy“. Nauka szła Jasiowi bardzo — ale to bardzo trudno. Bo i niedziw, wykłady odbywały się w języku niemieckim, a Jasiak nie umiał go, gdyż nigdy się nim nie posługiwał. To też brał „łapy“. Nieraz gdy uczniowie — Niemcy śmieli się z jego „nieuctwa“ jemu łzy kręciły się w oczach. Wreszcie znienawidził i niemiecki język, i opasłego nauczyciela i szkółkę.

Pewnego dnia Jaś i jeszcze kilku Polaków zamiast modlitwę w znienawidzonym języku niemieckim zaczęli ją odmawiać po polsku. Nauczyciel stał osłupiały, nie mogąc się ruszyć z złości. Tylko twarz jego stała się podobną do buraka, a oczy błyszczały niepohamowanym gniewem.

— Was ist das? krzyknął nareszcie.

Odpowiedzią na to był coraz śmielszy głos modlitwy polskiej. Naraz Niemiec chwycił kanciastą linijkę i jął najbliższemu stojącemu Jasiowi zadawać

razy. Chłopcy bladzi i przerażeni, odmawiali dale modlitwę; tylko Jaś patrzył smutnie, gdy nauczyciel przestał go bić, po twarzy płynęły mu łzy oburzenia na tego Niemca, co zabraniał Polakom modlić się językiem ich pradziadów na uczniów Niemców, chichoczących z cicha.

I pytał się w duszy: Dlaczego to? Dlaczego to? Dlaczego Bóg pozwala Niemcom znęcać się nad nami?

Nie znalazł odpowiedzi...

Ale poczekaj, biedny Jasiu! Nie zadługo sprawdzi się, że Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy!

Niezadługo, niezadługo...

I doczekaliśmy dni lepszych — ale czy dużo jest takich Jaśków którzy się z tego cieszą i rozumieją sprawiedliwość Bożą?

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Mały Tadzio, figlarz wielki,
Nalał wody do butelki;
Na siostrzyczkę czekać ma.
W sieni dobra jest zasadzka,
Oblać można ją zniemacka
I tak zmoczyć, że aż ha!

Czeka, lecz się niecierpliwi,
Tupie nóżką, buzię krzywi.
— Gdzież ta Hania siedzi tak?
W sieni ciemno, pies gdzie wyje.
W piersi serce mocno bije,
Jak spłoszony nagle ptak.

— Lepiej z góry ją obleję,
Hania ani się spodzieje,
Toż to będzie straszny wrzask.
I na ławę wnet się wspina.
Wtem ta chylić się zaczyna;
Nagle łoskot, rumot, trzask!

Pada Tadzio razem z ławą,
A z półeczki, co na prawo,
Korniszonów leci słój.
Butla, co to w ręku była,
Też w kawałki się rozbiła,
Raniąc ręce, mocząc strój.

Wbiega Hania, za nią służa;
W korytarzu wielka struga
I Tadzienka rzewny jęk.
Płacze leżąc rozciągniony,
Wkoło szkło i korniszony,
Aż ogarnia Hanię lęk.

Prędko chłopca podniesiono,
Skaleczenie opatrzone,
Pocieszając, ile sił.

On tłumaczyć się nie stara.
— Dobrze mi tak, słuszna kara.
Bo mój pomysł głupi był.

Marja Bogusławska.

Zosia.

W pewnym domu, w suterynie mieszkała wdowa wyrobnicza z kilkorgiem dzieci.

Bieda tam była „aż pilszczało” jak to mówią. Zaledwie szary świt zaglądał do izdebki, zrywała się matka z tapczana, a uprzątnawszy cokolwiek łóżko, budziła najstarszego chłopca, Józka.

— Józek, wstawaj, czas już na targ!

Podnosił się Józek wolno, niechętnie z ławy, odziewał szybko i spuszczał się po drabince do piwniczki, gdzie leżały pęki warzyw i ziemniaki.

Ładował chłopiec na wózek ten towar i jechał z nim na targ.

Wkrótce za nim wychodziła matka na posługi — w izbie zostawały dzieci pod opieką najstarszej, dziesięcioletniej Zosi.

Po świętach Bożego Narodzenia zima wzmogła się. W suterynie wyrobniczy coraz było chłodniej, i głodniej, bo wiadomo, w zimie najtrudniej o zarobek.

Pewnego dnia wraca Józek z targu, ciągnąc za sobą pusty wózek, aż tu widzi siostrzyczka jego, Basia siedzi pod sklepem i drząc z zimna, zanosi się płaczem.

— Basiu, co ty tu robisz, czemu płaczesz?

A Basia rzuca mu się na szyję i płacze jeszcze głośniej, ale są to już łzy radości.

— O, mój Józku kochany, jak to dobrze, żeś mnie znalazł, zabłąkałam się i nie mogłam trafić do domu.

— A gdzieżeś to chodziła?

— Daleko, Józku, daleko na plac, przed kościołem. Chodziłam popatrzeć na zabawki. Co ich tam jest! Dwa wielkie okna w magazynie zastawiono niemi od góry do dołu. A jakie śliczne!

Ożywiła się Basia, łzy przestały jej z oczu płynąć, oczy zapłonęły.

— A w drugim sklepie stoi w oknie lalka jak żywa. I oczyma rusza i włosy ma prawdziwe... Żebym to ja choć raz w życiu jaką małą lalkę miała!

Mówiła tak Basia długo jeszcze i nie zauważyła, że obok przystanęła dziewczynka Zosia ze swoją matką.

— Mamusiu — rzekła Zosia — zdaje mi się, że te dzieci są z naszego domu. O, tak, poznaję po wózku, codzień rano ten mały wywozi na nim warzywa na targ.

Zamyśliła się dziewczynka głęboko.

— Mamusiu, to ta dziewczynka nigdy nie miała lalki, a ja mam ich tyle. Możebym...

Dalsze jej słowa zagłuszył turkot przejeżdżającego wozu.

Nazajutrz była to niedziela. W mieszkaniu rodziców Zosi robiono przygotowania do zabawy, miało zebrać się kilkanaście dzieci. Na stole stały talerze z przysmakami, różne zabawki leżały dookoła.

— Możeby te dzieci z suteryny poprosić tutaj, niech i one zabawią się — szepnęła Zosia do mamy.
— Ale mama przecząco potrząsnęła głową.

— Nie wiem, czy zrobiłabys im przyjemność. Nie znają nikogo, czułyby się obce.

— Oddaj im część tych zabawek — szepnęła jakiś głos w duszy Zosi.

Zosia przez chwilę walczyła z sobą i walka była zwycięską.

— Mamusiu — rzekła — jabym się mogła bez tej mojej lalki obejść. I bez łamigłówek także! I bez tego wózka. Pozwól mi podzielić się zabawkami z dziećmi z suteryny!

Uścisk serdeczny był odpowiedzią matki.

Od tej chwili skończyły się już dni głodu i nędzy dla rodziny wyrobniczy, bo rodzice Zosi zajęli się szczerze losem biedaków.

Krystyna Rawicz.

Szczęśliwy.

Za siódmą górą, za dziewiątą rzekę żył król. Miał syna jedynaka. Królewicz ciągle chorował. Wzywano lekarzy z całego świata; kobiety znosiły zioła, odmawiały pacierze; lekarze próbowali środków rozmaitych nic nie pomagając.

Pewnego razu przyszedł na zamek królewski staruszek, prosząc o wsparcie. Kazano mu modlić się za chorego królewicza. Starzec obiecał go wyleczyć; należało tylko ubrać chorego w koszulę, zdjętą z człowieka zupełnie szczęśliwego.

Rozesłał król-ojciec posłów na wszystkie strony świata. Chodzili od miasta do miasta, od wioski do wioski, od chaty do chaty, szukali, wypytywali. Ludzi szczęśliwych nie było. Temu dokuczala bieda, tamtego gnębiła choroba kogoś z rodziny. Ten musiał pracować zbyt ciężko, tamtego kalectwo pozabawiło możliwości pracowania.

Oj, ciężko, ciężko ludziom na świecie!

Smutni wracali posłowie do króla. Lecz jeden z nich nie stracił jeszcze nadziei. Poszedł nad brzeg rzeki i napotkał leżącego w zaroślach nędzarza. Nędzarz zajął ogórek z razowym chlebem.

— Ooś nietęgi obiad macie — rzekł dworzanie.

— Co mi po lepszym. Do takiego się przyzwyczaiłem; taki mi smakuje.

— Gdzie mieszkacie?

— Wszędzie; biedaka każdy przytuli, a jak się nie da między ludźmi, prześpię się pod stogiem, pod dzwonnica, byle gdzie.

— A nie zimno wam?

— Jak zimą namarzną, to w lecie się wygrzeję.

— I nie smutno wam na świecie samotnemu?

— Alboż ja samotny? Bóg czuwa nademną, ptaki śpiewają mi nad głową, gwiazdki mrugają na mnie.

Zastanowił się dworzanie.

— To wy chyba zupełnie szczęśliwy jesteście! — zawołał.

— I jak jeszcze!

— Dawajcie mi copędzej waszą koszulę dla królewskiego syna! Król zapłaci wam za to ogromnymi bogactwami. Panem będziecie. Dworzanie kłaniać wam się będą. Nie zabraknie wam pięknych rumaków w stajni, futrzanych płaszczów, czapek sobolowych.

— Alboż ja mam koszulę? odparł żebrak.

Okazało się, że był istotnie tak biednym, że koszuli nie posiadał.

Szczęście nie na bogactwie zawisłe.